Nr. 1. Lwów dnia 27. maja 1871. Rok I.

GAZETA LITERACKA

Najtańsze pismo w Galicji.

Numer pojedyńczy kosztuje 12 ct.

Przedpłata wynosi:

Z przesyłką pocztową w Państwie Austrjackiem:
rocznie **3** złr. **60** cent., półrocznie **1** złr. **80** cent., kwartalnie **90** cent.

Z przesyłką pocztową za granicę:
rocznie **4** złr., półrocznie **2** złr., kwartalnie **1** złr.

Ogłoszenia
przyjmują się za opłatą **6** cent. od wiersza drobnym drukiem, oprócz opłaty stemplowej **30** ct. za każdorazowe umieszczenie.

Całoroczni abonenci otrzymują bezpłatnie ilustrowany kalendarz na r. 1872.

Wychodzi co 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmuje bióro Administracji Dziennika polskiego we Lwowie.

Do Czytelników.

Przystępując do wydawnictwa „Gazety literackiej“ czujemy się w obowiązku wykazania w krótkości co nas powoduje do tego.

Wiadomo nam, że przedsięwzięcia tego rodzaju jak niniejsze, nie raz już spełzły na niczem; że po krótszym lub dłuższym przeciągu czasu musiały być zaniechane, pomimo najlepszych chęci, umiejętnego kierownictwa i materjalnych ofiar.

A jednak, niezrażeni dotychczasowem niepowodzeniem innych, śmiało wstępujemy na drogę, na której utknęło tylu naszych poprzedników.

Przekonani bowiem jesteśmy, że społeczność nasza nabiera coraz głębszego przeświadczenia o tem, co dla niej jest rzeczywiście pożytecznem i potrzebnem; że coraz mniej ufa obcym, którzy pod pozorem cywilizowania narzucają się ze swem kierownictwem, niezgodnem z jej przeszłością i przyszłością; że coraz wyraźniej uczuwa potrzebę opierania się na żywiołach z własnego jej ducha zaczerpniętych.

Że zatem wszystko co dąży do wytwarzania i potęgowania tych żywiołów, znajdzie d z i ś poparcie i zachętę u tego samego ogółu, który n i e d a w n o j e s z c z e wszelkie usiłowania w tym celu czynione przyjmował obojętnie, lub lekceważył.

Jednem słowem, że d z i ś jest na czasie, to co niedawno jeszcze było p r z e d w c z e s n e m.

Głównem zadaniem naszem będzie popieranie wedle sił, za pomocą pisma naszego, zbawiennych dążności, ujawniających się obecnie w całym obszarze umysłowej działalności naszego ogółu.

Dla tego też pracować będziemy nad tem, by w Gazecie literackiej wszelki objaw ruchu w tym kierunku znalazł właściwą ocenę, byśmy tym sposobem coraz silniej wyrabiali sobie własne zdanie, posiłkując się pracami obcemi, ale nie spuszczając się na nie bezwzg lędnie

Nie ukrywamy przed sobą trudności takiego zadania, ale dodaje nam otuchy cel, ku któremu zmierzamy.

Zakreśliwszy sobie tak obszerne pole, tuszymy że czytelnicy uwzględnią to, że ramy jednego numeru Gazety literackiej całego jej programu nie wyczerpną. Zapewnić jednak możemy, że stać będziemy przy nim niewzruszenie i cały przeprowadzimy.

Lwów dnia 3. maja 1871 r.

Wydawcy.

W GÓRĘ MYŚLI!

Bracia! orlęta białe!
Do góry serca i myśli!
Do góry! w błękity, w chwałę!
Niech myśl nasza przeźroczysta
Przyszłości kresy nakreśli,
Serc naszych lawa ognista
Zniszczy tyranji pazury,
Przedrze przesądów chmury —
Do góry myśli — do góry!

—

Tam na eterów krańcu
Koło Boga, koło słońca,
Gdzie planety dźwięczą w tańcu
Jak harfa Eola drgająca,
Myśli białych gołębicę
Zawieśmy między gwiazd złoto —
Przez idei błyskawicę
Rozjaśnijmy świat ponury
Zapałem — miłością — cnotą —
Do góry myśli — do góry!

—

Biali by anieli Boży,
Dzielni i chrobrzy rycerze
Z cnoty ukujmy puklerze,
A szablice z prawdy zorzy —
Idźmy śmiało na wroga
Pełni światła - pełni Boga —
Niechaj nic nas nie zastrasza —
Ni sołdacki szynel bury
Ni hełmy pruskie łyszczące,
Ani druhy konające
Bo przyszłość — nasza!
Do góry myśli — do góry!

—

Miłości ogniem zagrzani
Z sercem płonącem — na dłoni —
Z gwiazdą wolności u skroni,
Z myślą — u niebios przystani
Idźmy śmiało — idźmy śmiało
Przez tę ziemię strupieszałą;
Rozbijmy niewoli głazy
Ogłośmy swięte rozkazy.
Niech sprawiedliwość zaświta,
Niechaj zginą czarta sędzie,
Niech wolność skrami owita
Na tronie siędzie!
Rozjaśnijmy świat ponury —
Do góry myśli — do góry!!!

Bol. P.

Z wystawy dzieł sztuki

urządzonej przez

TOWARZYSTWO PRZYJ. SZTUK PIĘKNYCH

we Lwowie.

I.

„Błogosławieni którzy cierpią, albowiem ich jest królestwo Boże“ królestwo ducha, królestwo uczuć i myśli.

Sprawdza się to w życiu jednostek równie jak i u całych narodów. Italia zdeptana najazdami Północy a potem średniowiecznych łupiezców, bo srogo przewiniła jako imperatorska Roma, Italia, szarpana zawiścią miast pomiędzy sobą, skrwawiona wojną domową mściwych rodzin, zbrodniami i występkami zhańbiona, w swoich wybrańcach zwróciła się w rajską krainę nazwaną krainą ułudy, zakwitła poezją i sztuką, odżyła i wzmogła się duchem, by przezeń zmartwychwstać w historji.

I nas podobnie usiłowano rozdzielić, zubożyć, aby nędzą zdemoralizować do reszty. Ale niepożytość narodu, żywotność jego, wymknęła się rękom ciemięzców, wydając całą plejadę ognisk duchowych, oddziaływujących światłem i ciepłem na ogół.

W pierwszych zaraz chwilach po kraju podziale, po tylu zawodnych oczekiwaniach obcej pomocy, siła rdzenna, duchowa narodu nie zmarniała przecież, bo zmarnieć z takim ogromnym zasobem nie mogła; ale jakoby fizycznym prawem zmodyfikowana, nie mogąc działać na zewnątrz zatliła w piersiach święty ogień poezji, zrodziła literaturę bogatą.

Dzisiaj na zgliszczach miast zrabowanych i spalonych wiosek unosi się wysoko fenix genjuszu polskiego i bohatersko protestuje wobec przemocy, zadając kłam wyroczniom zagłady, odradzając się w sztuce.

I zasłynęła Polska sztuką u postronnych ludów, powtarzających w zdumieniu, że jeszcze tylko jedna istnieje szkoła malarstwa samodzielnego, której cechą tytaniczna energja, ześrodkowana potęga, czy to w historycznych obrazach, czy w rodzajowych a nawet w portretach.

Jak Rodakowski Francuzów, — tak krakowianin Matejko olśnił wrogich a zazdrosnych Niemców, chętnie wynajdujących coraz to nowe, choć błahe, zarzuty przeciw jego utworom. Wysilają oni swój dowcip na krytyki, nieprzygotowani na tak imponujący objaw; równemi zarzutami

zasypują artystę, pracującego w zupełnie innym kierunku. Mówimy tu o naszym niezrównanym Juljuszu Kosaku.

Ozdobą tegorocznej wystawy dzieł sztuki we Lwowie, są cztery akwarele jego. Z nich najdrobniejsza rozmiarem lecz wykończeniem ogromna przedstawia dwóch jezdzców. Już tu uwidocznia się niepospolite mistrzowstwo artysty malującego człowieka jakoby z koniem zrosłego w jedno spotężniałe jestestwo, w uszlachetnionego centaura, tyle tam swobody, pewności niewymuszoności i siły! A jakże zdać nam sprawę z całego bogactwa linij jakie zwierzę szlachetne, rycerskie rozwija w swych członkach; akwarela też nadaje się wybornie swą przeźroczystością i siłą białego tła, do oddania rozlicznych tonów nieskończonej gamy cieniów i światła w masie każdego z koni w zabarwieniach włosa najrozmaitszych. Zaledwie można ocenić nieobjęte bogactwo kompozycji (w „Stadninie hetmańskiej“) tegoż artysty, gdzie obok niedorównanej gry linij i światła w najróżnorodniejszych postawach koni rasowych zastanawia szczególnie, tak wybitnie każdego odrębne poruszenie zgodne z jego temperamentem. Tu nie wiadomo czemu oddać pierwszeństwo, czy mistrzowskiej indywidualności, czy ugrupowaniu tak łatwemu, tak dalekiemu od chaosu, czy wreszcie wdzięcznemu krajobrazowi służącemu za tło lekkie, świeże a rozległe w perspektywie dalekiej.

Nieprześcignioną swobodą, ruchliwością i życiem kipią dwie inne sceny jarmarczne, gdzie znowu zamęt, tartas, hałas, krzyk i ciżba, a przecież niema bezładnej gmatwaniny dla oka wybierającego kolejno pojedyńcze grupy tak umiejętnie z sobą połączone w jeden malowniczy natłok. Tu obok stepowych biegunów o jędrnych i nie wypieszczonych kształtach ukazują się przeróżne okazy cierpień i niedoli biednego żywota końskiego. Tyle tu kalectwa i nędzy, tyle poniewierki! Dzielny kłusak w hołobli u moskiewskiej kibitki nie darmo srodze się zadumał, jakby przeczuwając swój koniec. Jakaś konina chyba dla ironji przykryta wyszarzanym kaftanem, przygnębiona ogromem prac, obrokiem niewynagradzanych, ogłupiała do reszty w tej wrzawie i otrętwiał a zupełnie — niezazdrości już nawet butnym stepowcom rwącym się w zaprzęgu, albo wydzierającym się uździe, oszołomionym powodzeniem chwilowem i świetnością lat młodocianych; gdy inny znowu niegdyś może pieszczony dopóki sił nie sterał, legł pod brzemieniem trudów, by usnąć — oby na zawsze! A wszędzie uwijają się furmani, miszuresy, kacapy albo kozaki — Ludzie zrośli na koniu to też śmiali i rzutni o zapamiętałej energji; więc do nich stanęli kontrastem pseudorycerze, kawalerowie jarmarczni, bałaguli nasi wołyńscy.

Jeden z nich starszy, okiem znawcy spoziera na nogi konia i bada chód jego; gdy młodszy, zwykle zarozumiały, z rozpłomienionem obliczem ukrywa swój zapał przed okiem żydka faktora, którego twarz drży, również nerwowym zachwytem, tak że i o geszefcie zapomniał a cały duszą w tym koniu, bo też to fajn, git! i licho nie szkapa! — tak rwie się z rąk Walusiowi, co to na drugi rok ma wystąpić jak chłystek angielski, by Jaśnie Panu na wyścigach blasku przybyło.

Arcydziełem jest grupa czterech żydów handlarzy. Jeden z nich, rudy Herod, zaledwie utrzymać zdoła po raz pierwszy sprzężone tabuny, śledzone w rzutach swych chciwem okiem trzech innych żydków konwulsyjnie trzymających się drążków u wózka aby nie zlecieć; od nich niedaleko wśród największej wrzawy legł na wznak na wozie parobczak, typ głupiej obojętności, przykrywszy czerwoną pyzatą twarz kapeluszem, to znowu kacap, stary ćwik z niedowierzaniem słucha żydka, przestraszonego nieudaniem się okpisza tłomaczącego mu ukryte zalety konia, gdy dwóch furmanów żydowskich w kaszkietach, o nielitościwych obliczach ciągną a biją i pędzą ślepą, odartą wywłokę, bo jeszcze na niej dobry interes zrobili, i będą nią gnać z rok może do Berdyczowa. Straganiarka porozstawiała na zydlu samowary, szklanki i przekąski, — jarmark bo to nie lada, co niemiara zaściankowych figur, jak owa jejmość, reprezentantka płci nierycerskiej, kapeluszem słomkowym i wielkim parasolem osłaniająca od impertynencji słońca reszty zwiędłych wdzięków. Jakiś jegomość w niebieskim fraku co to gardzi miastem i niewidział go ze dwadzieścia lat może, przystanął pomimo woli, bo zaimponowała mu sztuka chociaż łamana. Popis dwóch szarlatanów wywracających koziołki, że aż strach bierze, biedna jakaś babula, patrzy litując się że tak męczą dziecko; innego znowu jest zdania chłop bywalec, co to widział bodaj czy nie kolej żelazną, więc tryumfująco unosi do góry fajczynę z samowiedzą swej intellektualnej wyższości, opowiadając zapatrzonej niewieście, że to nic jeszcze.

Trzeba to widzieć, aby w tem co piszemy o przesadę nas nie obwinić, potrzeba studjować, ażeby ocenić całe mistrzowstwo; ależ i bez tego sam obraz chwyta uwagę i przychodzą na myśl jakieś wrzawne chulaszcze, pocieszne spominki — młodszych weselszych lat; — i to już dostatecznym dowodem genjalnego ujęcia tych scen.

TAJEMNICE
pałacu carów.

Rozdział I.
Dwa rodzaje burzy.

Gwałtowny wicher wieje od zachodu, bystro ślizgając się po płynnej płaszczyznie oceanu i dumnie stawiąc czoło wartkiemu prądowi wód jeziora Ladogi, toczących się do morza. Walczą one z wichrem, szukając

drogi do Baltyku — ale próżny opór. Zamiast płynąć naprzód, burza zmusza je cofać się.

Już żółtą swą pianą bryzgają one na granitowe boki Angielskiego wybrzeża w Petersburgu, już wody Mojki i Fontanki występują ze swych łożysk i zalewają przyległe ulice. Sygnałowe strzały z dział rozlegają się z twierdzy Piotra i Pawła; na pałacu admiralicji wywieszono latarnie oznajmiające niebezpieczeństwo; w niższych dzielnicach miasta bieganie, rwetes, ucieka kto tylko może; na wyższych ulicach tłum złożony ze wszystkich klas społecznych żegna się przerażony...

Bo istnieje proroctwo, zapowiadające Petersburgowi zagładę przy trzeciej powodzi...

W jednem z okien zimowego pałacu stoi w myślach zatopiony mężczyzna słusznego wzrostu, ponuro spoglądając na zbuntowaną Newę.

Dla niego dawno już wszelki opór przestał istnieć, dawno już zapomniał on, co to jest nieposłuszeństwo.

Bo jeżeli spotkał coś podobnego na swej drodze — to łamał jak suchą gałązkę, lub rozdeptywał jak bezbronny owad...

Dziś, nieprzyjaciel zaległ granice jego ogromnego państwa, i miljon żołnierzy nie jest w stanie go wyprzeć. Twierdze, duma i siła cara, nie są zdolne do oporu; jenerałowie, na których liczył z pewnością, gdyż na paradach i manewrach byli tylko marjonetkami, według jego woli poruszającemi się, okazali się niezdarnymi wobec wroga...

A do tego, w chwili, gdy zaczynamy nasze opowiadanie i sama natura śmie buntować się przeciw niemu.

W głębokiej a bezsilnej wściekłości despota podnosi pięść ku falom Ladogi.

— Podłe! woła, czyż i wy ustąpicie Zachodowi!.. Nie! dopóki żyję, Wschód nie ustąpi!... Tak! nieraz już o tem myślałem... Nie powinienem przeżyć porażki!...

Dumny i zarazem rozpaczliwy uśmiech zaigrał mu na ustach. Po chwili powtórzył z rezygnacją:

— Nigdy!

W tej chwili lokaj podniósł portierę i powiedział:

— Najjaśniejszy Panie! kurjer z Krymu.

— Niech wejdzie odrzekł car ponuro. Ale mimowolnie rumieniec wystąpił mu na marmurowo-blade oblicze i rysy wyraziły niespokojne oczekiwanie.

Wszedł kurjer. Był to młody oficer z korpusu strzelców, złamany dziesięciodniową podróżą przez moskiewskie stepy i zaledwie trzymający się na nogach.

Chciał coś powiedzieć, ale znużenie głos mu zatamowało. Musiał oprzeć się o krzesło.

— Co tam? zagrzmiał Mikołaj.

Kurjer machinalnie podniósł rękę do torby, którą miał zawieszoną na piersiach, wyjął z niej depeszę i podał carowi.

Mikołaj wziął ją i nie czekając, gniewnie rzucił na stół.

— Czy nie rozumiesz o com się pytał, powtórzył, co tam słychać?

Kurjer drgnął.

— Najjaśniejszy Panie!... wybełkotał.

Car podszedł ku niemu i gwałtownie wstrząsnął go swoją żelazną ręką.

— Methe! czy nie znasz mnie?... Raz jeszcze pytam się co słychać w Krymie?

Methe w milczeniu pochylił głowę.

Marmurowa twarz cara przybrała purpurową barwę.

— A! zawołał, znowu złe wiadomości!... a Wrewski?

— Baron Wrewski zginął.

— Zginął!... a bitwa?

— Bitwa pod Czarną?

— No!? przegrana?

— Tak jest Najjaśniejszy Panie. Baron Wrewski ciągle był przy boku jenerała Dannenberga.. Zdaje się że oba szukali śmierci...

— Cóż dalej?

— Baron Wrewski poległ... Przed śmiercią kazał mi zanieść w. c. mości smutną wiadomość...

— A!.. zawołał car i zadzwonił.

Wszedł lokaj.

— Porucznika Methe osadzić na miesiąc w twierdzy!... niech wypocznie!... a niech wiele nie gada!... dodał ciszej.

Oficer skłonił się w milczeniu i wyszedł.

W przedpokoju spotkał innego kurjera, znajomego sobie, ale którego zaledwie mógł poznać, tak twarz mu ogorzała od słońca i tak była błotem zabryzgana.

— Ostrowski! zawoła Methe, ty skąd?

— Z Kaukazu odrzekł zapytany.

Methe badawczo spojrzał na niego.

Ostrowski smutno zwiesił głowę i tak samo spojrzał na Methe.

Ten ruszył tylko ramionami.

Ostrowski rozumiał go i ze ściśniętem sercem wszedł do carskiego gabinetu. On także przywoził złe nowiny.

— Skąd? zapytał go car groźnie.

— Z Kaukazu, odrzekł Ostrowski, i podał carowi depeszę, którą ten szybko rozpieczętował.

„Najjaśniejszy Panie! pisał Murawiew-Karski, którego nie należy brać na jedno z katem Litwy, „według rozkazu w. c. mości przypuszczaliśmy szturm do Karsu i zostaliśmy odparci ze znaczną stratą. Zdanie moje, że Kars nie może być zdobyty, na nieszczęście sprawdziło się. Wczoraj, gdy adjutant w. c. mości przywiózł rozkaz zarządzenia szturmu, zebrałem radę wojenną,

uprosiwszy przysłanego by nie wyjawiał rozkazu. Wszyscy oświadczyli się przeciw szturmowi, który nietylko że był niemożebny, ale nawet bezużyteczny, gdyż w kilku tygodniach głód zmusiłby twierdzę do poddania się. Adjutant wysłuchał tych zdań w milczeniu. Wtedy ja przemówiłem: „Panowie rzekłem, j. c. mość każe przypuścić szturm. Jutro o piątej godzinie rano kolumny szturmowe wystąpią. Przekonamy j. c. mość, że mężnie idziemy na śmierć, kiedy nam każe umierać." I dowiedliśmy że umiemy umierać za w. c. mość, gdyż 19.000 najlepszych żołnierzy moich leży na polu bitwy i w wąwozach Kars otaczających. Na nieszczęście kule zaoszczędziły mnie, jakby chciały bym spełnił smutny obowiązek uwiadomienia w. c. mości o klęsce."

Car oczami przebiegał raport Murawiewa; a tym czasem sygnałowe działa grzmiały głucho w pobliskiej twierdzy, a odgłos ich odbijał się ponuro od okien zimowego pałacu.

Czyżby ziemia miała mu się rozpaść pod nogami i pogrążyć w swoich bezdennych otchłaniach?... Jak fale Baltyku uderzały o mury jego stolicy, tak i sprzymierzeńcy zachodni naciskali jego twierdze. Sebastopol trzymał się jeszcze — ale jak długo trzymać się zdoła?... Dziś, jutro, kurjer, telegraf, może przynieść wiadomość o jego upadku...

Jak śmiały gracz, postawił on wszystko na kartę, posyłając do Krymu rozkaz stoczenia bitwy — i zawrzała bitwa nad Czarną...

Zrazu szczęście zdawało się przechylać na stronę cara; Anglicy przyparci zostali do morza. Ale nadszedł Bosquet z żuawami i zapędził Moskali w wąwozy, gdzie ich wymordowano bez litości.

W Azji Murawiew oblegał Kars. Car chciał odwrócić uwagę zagranicy od wypadków w Krymie i olśnić świetnem zwycięztwem podupadłych na duchu swych poddanych. Kazał wziąć Kars szturmem.

Zebrano w Petersburgu radę wojenną i zawezwano do niej z Warszawy starego Paszkiewicza, który zdobył Kars w r. 1829. Wszyscy byli przeciw szturmowi. Paszkiewicz najbardziej był mu przeciwny.

— A jednak sam zdobyłeś Kars! przerwał mu nagle car.

— Wziąłem go, N. Panie, to prawda, ale nie za pomocą kul żelaznych, lecz złotych... Niech w. c. mość poszle takież same kule jenerałowi Murawiewowi — a Kars nie utrzyma się.

Ale takich kul nie posłał car do Azji, gdyż osobiście nienawidził Murawiewa, za to, że raz, podczas wielkich manewrów, został otoczony przez niego i wraz z całym sztabem wzięty do niewoli. Ktokolwiek znał charakter cara, ten pojmie, że nie mógł przebaczyć takiej obrazy. To też mianował on Murawiewa naczelnym wodzem jedynie ulegając opinii publicznej. Ale nie posłał mu kul złotych, lecz rozkaz wzięcia szturmem Karsu. Jenerał był posłuszny rozkazom — i zamiast świetnego czynu, który miał zdumić Europę i olśnić poddanych, nastąpiła haniebna klęska i rzeź bezużyteczna.

Czarniejsza aniżeli nad brzegiem Newy, była w tej chwili noc w duszy dumnego władcy.

Powodzenie, wiernie mu towarzyszące od lat trzydziestu, które rządy jego otaczało złudnemi pozorami potęgi i w które sam wierzył, teraz odwróciło się od niego...

Nowy huk działa wyrwał go z ponurego zamyślenia. Zapomniał był na chwilę o tem, co się działo dokoła.

— Czego chcesz? zapytał nagle kurjera, kto jesteś?

Ale nim oficer zdobył się na odpowiedź, car już zebrał swe myśli. Straszliwa klęska pod Karsem znowu stanęła mu przed oczami.

— A!... wiem już... Jutro powrócisz na Kaukaz, a teraz idź wypocznij. Będziesz mi siedzieć pod Karsem! nie wracaj bez lepszych wiadomości. Teraz odejdź!... W przedpokoju powiesz, by mi tu przysłano kurjera, który przybył z Krymu.

Ostrowski salutował po wojskowemu i wyszedł.

Methe znajdował się jeszcze w pałacowej kordygardzie. Nie podobna było przeprawić go za Newę wśród burzy.

Stanąwszy przed carem otrzymał rozkaz bezzwłocznego powrotu do Krymu.

Mikołaj nie oszczędzał swych sług.

Gdy kurjer wyszedł, car rzucił się na fotel i przez niejaki czas przesłuchiwał się burzy. Potem wstał i zadzwonił.

— Niech tu przyjdzie Karrel, rzekł do wchodzącego lokaja. Potem poszedł ku oknu, którze burza roztworzyła.

Fale coraz gwałtowniej uderzały o granitowe wybrzeże. Sygnałowe strzały coraz częściej rozlegały się.

— Jeżeli Napier skorzysta z dzisiejszej burzy i ciemności, rzekł sam do siebie, i przemknie się pod Kronsztatem, Petersburg jest zgubiony... Ale nie odważy się tego zrobić, gdyż choćby znalazł jakiego zdrajcę pomiędzy tymi łotrami Finlandczykami, któryby podjął się wskazać mu drogę, to nie przepuszczą go podwodne miny Jakobiego... Moja gwiazda ukryła się tylko na chwilę za chmurami — ale zabłyśnie jeszcze... Jeszcze lew nie jest zwyciężony... owszem — ostrzy pazury i zęby...

Wszedł służący.

— Radca stanu Karrel.

Ukazał się carski faworyt, zaufany lekarz, który mu zwykle towarzyszył we wszystkich podróżach.

Mikołaj nie zauważył jego wejścia, zajęty przypatrywaniem się falom. Dopiero po niejakim czasie odwrócił się od okna i ujrzał przybyłego.

— A! to ty, Karrel!... Kazałem cię przywołać bo czuję, żem chory, bardzo chory.

Lekarz chciał wziąć za puls, ale Mikołaj cofnął rękę.

— Puls cię nie objaśni natury mojej choroby, powiedział, ukryta ona głęboko w sercu... Powiedz mi, jak długo jeszcze żyć mogę?

Karrel spojrzał na niego zdziwiony.

— N. Panie, życie ludzkie jest w ręku Boga.

— I cokolwiek we własnem człowieka ręku, przerwał car dumnie.

Zdziwienie Karrela wzrosło, dech mu się zatrzymał. Sądził i zarazem obawiał się, iż zrozumiał swego pana.

— Panuję dłużej niż moi poprzednicy, mówił car dalej, czas już bym wypoczął. Tego samego zdania są i moi przyjaciele, Anglicy — chcą złożyć broń dopiero gdy złożę koronę. Ale ty mnie znasz, Karrel, i wiesz, że złożę ją tylko wraz z życiem. Jednak grunt zaczyna mi usuwać się pod nogami.

Ostatnie te wyrazy wymówił zaledwie dosłyszanym głosem, potem zamilkł i zamyślił się znowu. Nakoniec jakby przebudziwszy się ze snu, zapytał:

— Jak długo jeszcze żyć będę?

— N. Panie! życie ludzkie, jak już powiedziałem, jest w ręku Boga. Szalonym i występnym jest lekarz, któryośmieli się oznaczyć kres życia człowieka zdrowego. Czyż kto nie znający wieku w. c. mości uwierzyłby, że dochodzisz do lat sześćdziesięciu? Długo jeszcze w. c. mość żyć będziesz dla szczęścia swego państwa!

— Jeżeli nie umrę dla jego wyratowania...

Słowa te mimowoli wyrwały się carowi.

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia. Car wielkiemi krokami chodził po gabinecie. Po niejakim czasie stanął przed Karrelem i zapytał spokojnym głosem:

— Jaka trucizna zabija powoli, bez bolów i nie pozostawiając śladów po sobie?

Karrel milczał.

— Pytam się ciebie! zagrzmiał Mikołaj, głosem od którego wszyscy truchleli.

— N. Panie!... zaczął Karrel, ale słowa mu zamarły na ustach.

— Powtarzam ci! powtórzył car, tupnąwszy nogą. Chcę mieć odpowiedź!

— Różne są trucizny... odrzekł wymijająco lekarz, działające mniej więcej szybko. Toksykologia wszakże nie jest dotąd nauką tak rozwiniętą, aby...

Mikołaj nie słuchał go, we własnych zatopiony myślach. Przerywając następnie Karrela odpowiedź bez znaczenia, zapytał:

— Wszak kwas pruski i nikotyna działają nagle.

Karrel potakująco kiwnął głową.

— A więc tych nie można, mówił car dalej, do siebie raczej, a nie do lekarza. Nie powinienem umrzeć nagle... za wiele by o tem gadano... Chcę być chorym przez kilka dni. Jaki skutek sprawia kwas strychninowy?

Karrel milczał.

— Truciznę tę absorbuje krew, czy tak? zapytał car, nie zważając na milczenie lekarza.

A gdy Karrel pozostawał niemym, dodał, kładąc nacisk na każdy wyraz.

— Czy słyszysz, że pytam?

— N. Panie...

— Tylko bez słów zbytecznych! Daj mi odpowiedź jasną i wyraźną!

— Czasami...

— Tak, to zależy od dozy... śladów wiele nie pozostawia, albo bardzo nieznaczne. Zwolna uśmierca... chory umiera po trochu i z zupełną przytomnością umysłu, bez bolu?

Karrel powtórnie skinął twierdząco głową.

Mikołaj znowu począł chodzić po pokoju, nie mówiąc ani słowa; czasami tylko zatrzymując się przed lekarzem i ostro weń wpatrując się, podczas gdy myśli jego daleko gdzieś błądziły. Nakoniec stanął znowu i powiedział tak cicho, iż zaledwie sam słyszał swe słowa:

— Karrel! daj mi kwasu strychninowego!

Karrel zbladł jak śmierć, wszystka krew zbiegła mu się do serca, dech się zatrzymał. Chciał mówić, ale nie mógł.

Tymczasem Mikołaj, odszedłszy od niego, stanął przed oknem i znowu wpatrywał się w rozhukane fale.

— W każdym razie Zachód zwycięży! powiedział sam do siebie, konwulsyjnie zaciskając pięści. Potem zwrócił się do Karrela i rzekł:

— Chcę mieć kwas strychninowy, czyś słyszał? Jutro mi go przyniesiesz.

Wtedy wierny sługa padł mu do nóg; ze łzami w oczach pochwycił cara za rękę i przycisnął ją do ust; ale tyle tylko mógł powiedzieć:

— N. Panie, co chcesz zrobić?

Mikołaj z dumą i zimno spojrzał na niego i zapytał:

— Cóż to? pozwalasz sobie wypytywać się mnie?

Łzy stłumiły głos lekarza. Mikołaj mówił dalej, widocznie wzruszony:

— Dawno mi już służysz, Karrelu. Towarzyszyłeś mi wszędzie. Widziałeś jak wszyscy, poddani i monarchowie, drżeli na jedno zmarszczenie brwi moich!... Czy chcesz, wierny mój sługo, bym złożył koronę? by mnie jak chorego lwa w bajce, osioł potrącał kopytem?... by ci, którzy drżeli przedemną, radowali się z mego upadku? by pigmeje drwili z upadłego olbrzyma?... Czy chciałbyś tego, Karrelu?

Lekarz klęczał ciągle u nóg swego pana. Mikołaj podniósł go i rzekł:

— Karrel! bądź męzczczyzna! Jutro przyniesiesz mi kwas strychninowy, a przyrzekam ci, że go użyję tylko okolicznościami zmuszony.

Karrel znalazł odwagę powiedzieć:

— N. Panie! Obowiązkiem nas, lekarzy, jest przywracać zdrowie chorym, o ile do tego nauka podaje nam środki; ale powołanie nasze nie pozwala nam zabijać ludzi.

Głos cara przed chwilą wzruszony, znowu przybrał ton surowy i rozkazujący, nie znający uwag.

— Słyszałeś mnie, Karrel! zawołał.

Ale i Karrel odzyskał odwagę.

— N. Panie, rzekł stanowczo, posłuszeństwo ma także swe granice. Niech N. Pan rozkaże bym umarł za niego, a zniosę śmierć, błogosławiąc ją... N. Panie! pomyśl o swej żonie, o dzieciach, o poddanych!... pomyśl, żem przywykł czuwać nad twem życiem!... Jakże możesz żądać odemnie czegoś podobnego... O! to okropność!...

I straciwszy prawie przytomność, padł na posadzkę.

Car poszedł ku oknu; przyłożył swe rozpalone czoło do zimnej jak lód szyby. Potem powrócił do Karrela i głosem, w którym przebijała zarazem surowość i łagodność, powiedział:

— Wstań, szaleńcze! Któż ci powiedział, że *teraz już* chcę umrzeć?... Mogą jednak zajść wypadki...

— Dla takiego monarchy, podtrzymywanego przez lud tak wierny, wypadki takie zajść nie mogą, przerwał Karrel. Lud twój walczyć będzie do ostatniej kropli krwi; przypomnij sobie N. Panie rok 1812!... Nieprzyjaciel może zająć punkta graniczne, zniszczyć porty, może...

— Dość tych słów bezpotrzebnych... Pomyśl o tem, com ci kazał zrobić!

To rzekłszy, car odwrócił się i odszedł.

Drżąc lekarz podniósł się z posadzki i trwożliwie spojrzał za odchodzącym caram. Miał sobie powierzoną straszliwą tajemnicę i nie był w stanie nic uczynić, by car zmienił swe postanowienie. Bo Mikołaj wymagał posłuszeństwa ślepego, nie znał ani przebaczenia, ani zapomnienia.

Rozdział II.

Czarownica z Bołota.

W części Petersburga, zwanej Kołomną, znajduje się dzielnica, nosząca charakterystyczną nazwę Bołota (Błota). Przed kilkunastą laty wzdłuż jej ulic, licho, lub wcale nie brukowanych, ciągnęły się po obu stronach niskie i brudne drewniane domy. Podczas drdżystej pory, przechodzący tędy grzęzli w błocie po kolana, w czasie posuchy wznosiły się tam zewsząd ogromne kłęby kurzawy, zaciemniające horyzont.

Tego wieczora, o którym chcemy mówić, Boloto najzupełniej usprawiedliwiało swą nazwę; gdyż Newa, wystąpiwszy z koryta zalała całą tę niską dzielnicę, tak że po ulicach ani przejść, ani przejechać nie można było.

Większa część małych domków zdawała się z ponurą obojętnością wsłuchiwać w burzę. Mieszkańcy ich, marynarze, lub pomniejsi urzędnicy, powynosili się do dzielnic wyżej nieco położonych, biedne swe ruchomości pozostawiwszy na strychach. Gdzieniegdzie tylko błyskały światła jak błędne ogniki, a mianowice w lokalach, których właściciele opuścić nie chcieli.

W jednym z takich domów, brudniejszym i nędznicjszym od innych, błyszczało także światło, podobne do blasku próchna, odbijając o szary papier, którym pozaklejane było część okien. Inne znowu światło od czasu do chasu buchało tamże purpurowym blaskiem, odbijając się w kształcie ognistych języków na wodzie, którą zalana była ulica.

Ktoby wtedy wszedł do tego domu, ujrzałby szczególne widowisko.

W małym pokoiku, na szaro pomalowanym, stała pod ścianą wązka ławka drewniana, jaką zwykle widzieć można w domu wieśniaków moskiewskich; przed nią stał prosty stół, a na nim świeca, w żelaznym lichtarzu osadzona, oświetlało talię zabrudzonych kart i kilka filiżanek do kawy.

Napróżno szukałbyś tu jakiegokolwiek obrazu, przedmiotu niezbędnego w każdej ruskiej izbie.

Stara kobieta, widocznie najzupełniej obojętna na to, co się działo na dworze, siedziała przed piecem, w którym tlało kilka polan, a przy nich warzyła się kawa w niewielkim rądelku na trójnogu.

Od czasu do czasu poprawiała ogień, a twarz jej oświetlona jego blaskiem, miała wyraz prawdziwie szatański. Przyczyniał się do tego jeszcze i fantastyczny ubiór: na głowie miała bowiem rodzaj czerwonego zawoju; z prawego ramienia zwieszał się żółty szal z czerwoną frędzlą, szerokiemi fałdami obejmując talję.

Chwilami zrywała się nagle, kręciła po pokoju, chrypłym głosem nucąc jakąś dziką piosnkę. Potem znowu siadła przed ogniem i zatapiała się w myślach, utkwiwszy wzrok w gotującą się kawę.

Nakoniec ostrożnje zlała płyn do jednej filiżanki, fusy odcedziła do drugiej, starannie przedtem wymywszy ją.

I popijając powoli z wielką uwagą zaczęła się wpatrywać w fusy. Im dłużej patrzyła, tem bardziej szatański wyraz przybiegała jej twarz.

Wtem wybuchła szalonym śmiechem, cisnęła na ziemię filiżankę z fusami, która rozbiła się na tysiące kawałków, zerwała się i podobna do tygrysicy, wietrzącej

krew, znowu rozpoczęła szalony taniec, przyśpiewując głośniej niż przedtem.

Kobietą tą była petersburska Lenormand, sławna cyganka, znana pod nazwiskiem „czarownicy z Bołota,“ albo Marfuszy.

Podczas gdy tak się wiła i wykrzykiwała, do pokoju weszła jakaś dama, i zdumiona widokiem, jaki się jej przedstawił, stanęła w progu.

Była ta osoba piękna, mogąca mieć około dwudziestu czterech lat. Ubior jej, skromny, ale gustowny, uszkodzony był nieco przez burzę, obuwie miała zabłocone, i chociaż osłonięta ciepłym szalem, drżała od zimna. a może z przestrachu. Twarz miała bladą, czarne oczy załzawione, usta jej chwilowo ściskały się konwulsyjnie.

Pewnie nie prostą ciekawością powodowana, odważyła się wśród takiej burzy szukać u cyganki rady, a może ratunku.

Tymczasem Marfusza ciągle kręciła się i przyśpiewywała, nie widząc nowo przybyłej. Wreszcie aż potrąciła ją łokciem.

Wtedy, nie okazując bynajmniej zdziwienia i nie wymówiwszy ani słowa, utkwiła badawczy wzrok w młodej osobie.

— Przychodzisz dowiedzieć się o twoim losie? zapytała po chwili. Nie mam potrzeby radzić się kart co do tego — twoja przyszłość wypisana jest na twej twarzy. Pokaż rękę!

Mówiąc to, podprowadziła nieznajomą do stołu, na którym stała świeca, objaśniła ją palcami, knot gorejący rzuciła na podłogę, potem wpatrywała się długo naprzód w rękę nieznajomej, jakby studjując jej linie, następnie w oczy, tak że młoda kobieta zaledwie zdołała wytrzymać ten wzrok. Wreszcie nagle puściła trzymaną rękę, odepchnęła nieznajomą i zawołała:

— I ty śmiesz przychodzić do mnie? Śmiesz przychodzić tu płakać!... Sybir!... No i cóż to Sybir? Cóż ztąd, że on nie wróci z Sybiru?... Ale nie będzie wisieć!... Nie będziesz patrzeć zdaleka, zrozpaczona, jak mu zakładają stryczek na szyję, jak mu pomost z pod nóg wysuwają, jak zawiśnie w powietrzu, otoczony krakającemi krukami!... Tyś szczęśliwa — bo nie będziesz widzieć jego śmierci.

Zdjęta przerażeniem młoda kobieta, chciwie chwytała oderwane frazesy cyganki. Chciała zapytać ją o coś, ale słów nie znalazła.

Straszliwa czarownica zdawało się iż czyta w jej myślach, gdyż mówiła dalej:

— Gołębica wzdycha za gołębiem! Chce wiedzieć, dokąd on odleciał... No! poleciał do nowej kochanki!...

Ostatnie te wyrazy wymówiła Marfusza głosem aż do szpiku przenikającym, potem drwiąco dodała:

— Stara miłość musi ustąpić nowej!...

Usłyszawszy to, młoda kobieta zalała się łzami. Pochwyciła kościstą rękę cyganki i ściskając ją rozpaczliwie, zawołała:

— O! zlituj się nademną Marfuszo! nie dręcz dłużej niejasnemi słowami! Masz! weź wszystko co mam przy sobie, ale powiedz mi prawdę! Chcę wiedzieć prawdę! Najokropniejsza znośniejszą mi będzie nad niepewność.

To mówiąc, rzuciła na stół swą portmonetkę, pozdejmowała bransolety, odpięła broszę, gotowa była nawet wyjąć z uszu brylantowe kólczyki, gdy w tem Marfusza pochwyciła ją za rękę, z pogardą odsuwając pieniądze i klejnoty.

— Weź to sobie nazad, — rzekła grobowym głosem. — Cyganka, która za godzinę będzie trupem, nie potrzebuje pieniędzy.

Nieznajoma, zdawało się, iż nie rozumie tego. Boleść i zwątpienie odejmowało jej prawie przytomność.

— Więc chcesz wiedzieć gdzie jest twój ulubiony? — mówiła dalej Marfusza, — czy tak? Prawda żeś po to tu przyszła? Widzisz, że wiem wiele, wiem wszystko!

Potem dodała łagodniejszym tonem:

— Bo umierającym daną jest moc widzenia przyszłych rzeczy, tak jak widzą teraźniejszość i przyszłość... Tak jest, miłość, jaką miał ku tobie twój mąż, ustąpiła innej miłości, nierównie potężniejszej — sprzeniewierzył ci się.

Biedna młoda kobieta czuła, jak siły ją opuszczały. Usiadła na ławce naprzeciw cyganki i utkwiła w nią wzrok pełen rozpaczy.

— Uspokój się, moje dziecię, — mówiła dalej Marfusza, a wyraz jej głosu zdawał się co raz łagodniejszym, — nie kobietę twój mąż ukochał.

— Więc kogoż? — zapytała błagalnym głosem nieznajoma.

— Ulubiona jego, — rzekła cyganka, — skazuje na śmierć wszystkich swych wielbicieli. Dla tego też i twój mąż umrze, — dodała spokojnie.

— Cóż to jest? — zapytała znowu nieznajoma młoda kobieta.

— Ojczyzna, — odpowiedziała smutnie cyganka, ocierając łzy, które mimowolnie zwilżyły jej oczy.

Wtem pod oknem dał się słyszeć odgłos jakby konia, stąpającego po błocie.

Cyganka zerwała się i podniosła nieznajomą z ławki, z siłą jakiej niktby nie przypuszczał w chudej, wątłej kobiecie.

— Idź co prędzej do tego gabinetu! — zawołała, — nie trzeba by on cię tu widział! Chodzi o życie twoje i twego męża. Prędzej, prędzej!

I wepchnęła młodą kobietę do sąsiedniego ciemnego pokoikn.

— Ale któż to? — zapytała nieznajoma.

— Kto? — odrzekła cyganka z dziwnym wyrazem twarzy. Kto? Na nieszczęście za wcześnie dowiesz się o tem. Ale powtarzam ci, iż narazisz i twoje i twego męża życie, jeżeli się pokażesz.

To rzekłszy, wprowadziła ją do pokoiku i zamknęła drzwi od niego na zasówkę. (C. d. n.)

Listy Nie-Juniusza.

List I.

O oświacie ludu.

Za złe mi może weźmiecie, że zaczynam szereg listów moich od przedmiotu tyle już razy omówionego i z trybuny publicznej, i w pismach tak politycznych jak literackich, i w setkach broszur, książek i książeczek. Są jednak sprawy, o których nigdy dość pisać, nigdy ich nazbyt nie można przypominać. Są w życiu naszem społecznem kwestje tak żywotne, że od ich pomyślnego rozwiązania cała przyszłość narodu zależy, a tak rozległej i wszechstronnej wymagające pracy, że dopiero wtedy to rozwiązanie będzie umożliwionem, gdy przekonanie o ich żywotności przeniknie umysły ogółu, stanie się niejako artykułem wiary wszystkich oświeconych już synów tej ziemi. Taką niezawodnie jest sprawa oświaty ludu — też nigdy wołać nie przestanę: *Ego autem censeo* — oświecajcie lud!

Niestety — nie katonowska snać wymowa daną nam wszystkim, którzy o oświatę ludu wołamy, a może... może i słuchacze nasi nie tacy, jak byli owi na *forum romanum*, — bo skutki wołania tego tak dotąd maluczkie, że chyba przez mikroskop je dojrzysz.

Szkoła — to niezawodnie najsilniejsza dźwignia oświaty ludu. Bez niej wszelkie, choćby najbardziej wytężone usiłowania stowarzyszeń i odosobnionych na tem polu pracowników muszą być płonne. Komuż dasz książkę do ręki, jeżeli szkoła nie przysposobiła czytelników? dla kogo założysz czytelnię? dla kogo będziesz wydawać i prenumerować pismo ludowe, jeżeli lud czytać nie umie?

Kiedy w zeszłym roku sporządzano spisy ludności, zapomniano o tem, co najważniejsza może: o statystyce umiejących czytać i pisać — a można to było przeprowadzić w sposób bardzo prosty, dodając w tabelach konskrypcyjnych dwie rubryki, w którychby oznaczano, czy zapisany na liście umie czytać czy nie. Nie mamy zatem dokładnej pod tym względem statystyki — możemy sobie jednak przybliżone pojęcie o niej wyrobić z dat, podanych przez Radę szkolną krajową w sprawozdaniu ze stanu wychowania publicznego w latach 1868 i 1869. Cyfry to prawdziwie przerażające — szczególniej gdy je porównamy ze stanem innych krajów pod tym względem.

I tak miała Galicja w r. 1869 szkół ludowych 2476 na 5936 gmin. Gdy zważymy, że między te gminy są wliczone miasta i miasteczka, posiadające po dwie szkoły i więcej, przyjdziemy do przekonania, że w gminach wiejskich wypada prawie 1 tylko szkoła na 3 gminy. *W stosunku do ludności* mamy w kraju naszym 1 szkołę na 2187 mieszkańców, i zajmujemy pod tym względem jedno z ostatnich miejsc w Austrji i w Europie. I tak:

W Szwajcarji	1	szkoła	ludowa	na 352	mieszkańców.
We Francji	„	„	„	„ 501	„
W Hanowerze	„	„	„	„ 519	„
„ kr. Saskiem	„	„	„	„ 605	„
„ Danji	„	„	„	„ 650	„
„ Anglji	„	„	„	„ 665	„
„ Hiszpanji	„	„	„	„ 676	„
„ Prusiech	„	„	„	„ 682	„
„ Norwegji	„	„	„	„ 810	„
„ Belgji	„	„	„	„ 828	„
„ Szwecji	„	„	„	„ 900	„
„ Salzburgu	„	„	„	„ 909	„
We Włoszech	„	„	„	„ 960	„
W Szląsk. au.	„	„	„	„ 1060	„
„ Węgrzech	„	„	„	„ 1075	„
„ Czechach	„	„	„	„ 1230	„
„ Austr. całej	„	„	„	„ 1200	„
„ Grecji	„	„	„	„ 1510	„
„ Galicji	„	„	„	„ 2187	„

Gorzej od nas stoją pod tym względem tylko Portugalja, Turcja, Rosja, Rumunja, Serbja i Czarnogóra. Bolesne zaprawdę porównanie!

Jeszcze smutniej ono wypadnie, gdy zestawimy liczbę dzieci obowiązanych do uczęszczania, z liczbą uczęszczających do szkoły. W tych gminach, które mają szkoły, obowiązanych jest trzysta osiemdziesiąt tysięcy 530 dzieci — uczęszczających zaś 163.917, t. j. na 100 obowiązanych uczęszcza 43. W całym kraju zaś — a ta tylko cyfra jest tu stanowczą, obowiązanych jest najmniej 760. tysięcy dzieci, z tych uczęszcza 163.917 czyli 21 na 100. Na sto dzieci zatem, które powinne pobierać naukę, 79 jej nie pobiera. Rośnie dziś w kraju naszym 596.000 dzieci bez żadnej zgoła nauki. Pół miljona przyszłych obywateli, wyborców do rad gminnych i powiatowych, wyborców do sejmu, przyszłych radnych i posłów, którzy będą rozstrzygać o najistotniejszych interesach kraju, a nawet imienia swego podpisać nie potrafią, a nawet nie potrafią przeczytać a cóż dopiero zrozumieć żadnego projektu, żadnej ustawy! A liczba ich z każdym rokiem się wzmaga. Z każdym rokiem rodzi się 232,000 dzieci — z tych 134.732 dożyje do 10go roku życia, jeżeliż tedy między nimi będzie ta sama frekwencja jak dzisiaj, przybędzie nam rokrocznie 106.439 dzieci w 10tym roku życia, którzy żadnej elementarnej nauki nie otrzymali.

Wybaczcie, że was nudzę cyframi. Cyfry jednak wymowniejsze są od Ciceronów i Demostenesów, są nieubłagane, a kogo nie przekona cyfra, chyba już niczem przekonać się nie da. Widzieliśmy, że u nas na 100 dzieci obowiązanych do uczęszczania, tylko 21 tego obowiązku dopełnia. Porównajmyż to z cyframi innych krajów:

W Wirtembergji	na 100 obow. uczęszcza	98
„ król. Saskiem	„ „ „ „	97
„ Prusiech	„ „ „ „	95
„ Szwajcarji	„ „ „ „	94
„ Danji	„ „ „ „	89
„ Bawarji	„ „ „ „	83
„ Czechach	„ „ „ „	78
„ Szląsku austr.	„ „ „ „	77
We Francji	„ „ „ „	76
W Anglji	„ „ „ „	76
„ Norwegji	„ „ „ „	75
„ Belgji	„ „ „ „	66
„ Szwecji	„ „ „ „	61
„ Austrji całej	„ „ „ „	45
We Włoszech	„ „ „ „	31
W Grecji	„ „ „ „	30

Z prowincji państwa austrjackiego stoi pod tym względem gorzej od nas tylko Bukowina i Dalmacja — w Europie zaś całej tylko Portugalja, Turcja, Rumunja i Rosja.

Jeżeli jednak cyfry powyższe dowodzą, jak małą jest ta część ludności naszego kraju, która przeszła przez szkoły elementarne i umie zatem czytać i pisać, to każdy, kto zna choćby powierzchownie nasze szkoły, przyzna, że i ta część ludności nie zbyt wysoko stoi pod względem oświaty. Szkoły w których kształcono przyszłych nauczycieli, t. zw. preparandy, stały u nas dotąd poniżej wszelkiej krytyki. Toż nauczyciele, którzy z nich wyszli, z bardzo nielicznemi wyjątkami, jakże mało mogli dać wiedzy swym uczniom! Uzupełnieniem tak bardzo niedostatecznych, tak bardzo pod tym względem wadliwych szkół ludowych, powinny być usiłowania stowarzyszeń i w ogóle wszystkich gorliwych o dobro kraju obywateli. I jakżeż to zadanie spełniamy? Spytajcie księgarzy, ile się książek ludowych rozchodzi w kraju pięciomiljonowym? Spytajcie stowarzyszeń oświaty ludowej, które umyślnie bardzo niską na członków swych nałożyły opłatę, ażeby jak najwięcej ich liczyć, ilu mają członków? ile rocznego dochodu? jaka szczupła skutkiem tego działalność?

Uwagi powyższe, i cyfry z urzędowych sprawozdań wyjęte, posłużyły mi na udowodnienie, że sprawa oświaty ludowej bardzo u nas źle stoi, że ogół kraju nie zajął się nią jak należy, że zatem nie będzie bynajmniej rzeczą zbyteczną po raz setny może przeprowadzać dowód, że oświata ludu jest u nas — *kwestją głodową*.

Po upadku Rzeczypospolitej pogrobowa dziatwa przejęła do spłacenia dług święty, którego ojcowie częścią nie chcieli, częścią zaś spłacić nie mogli: podźwignięcie ludu wiejskiego ze stanu poniżenia, w jakim się znajdował. A spłata długu tego była dla nas nie obowiązkiem tylko, lecz i najżywszym zarazem interesem, największym naszym egoizmem — bo przyspasabiała nam miljony obywateli, miljony rąk i głów i serc, mających pracować, działać i walczyć, myśleć i czuć dla ojczyzny... Długu tego spłaciliśmy dotąd tylko cząstkę. Czy tak chętnie, czy z taką jak należało gotowością — w to nie wchodzę. Bo nie jest dziś moim celem wniesienie żałoby przeciw pokoleniu, które było przed nami.

Pokolenie dzisiejsze ma przed sobą fakt szczęśliwie dokonany: lud wiejski właścicielem ziemi, którą uprawiał, i w pełnem prac obywatelskich użyciu. Postąpiliśmy z nim jednak tak, jak z człowiekiem, któremubyśmy kazali rąbać drzewo, nie dawszy mu siekiery, kazali pisać, nie dawszy pióra i papieru. Włościanin pańszczyźniany niegdyś, jest dziś właścicielem i obywatelem — ale nie ma w ręku środka, zapomocą którego mógłby z praw swych odzyskanych dobrze korzystać: nie ma oświaty. Dług zatem spłacony w drobnej tylko cząstce. Równocześnie z nadaniem praw tych, winna była iść i oświata. Bez niej, ani włościanin własności swej dobrze bronić nie potrafi i staje się przez to łupem mnogich wyzyskiwaczy, co go jak pijawki obsiedli — ani z praw swych obywatelskich dobrze nie może korzystać, i staje się narzędziem każdego kto go zręcznie zażyć potrafi, piłką z rąk do rąk przerzucaną. I cóż mu dziś z praw tych i z tej własności?

Wiemy jak dalece pokątni pisarze wyzyskują lud nasz wiejski — a dla czego? bo czytać i pisać nie umie, więc musi swemu „adwokatowi“ wierzyć na słowo. Wiemy, z jaką nieufnością przyjmuje on wszelkie instytucje, mające tylko dobro jego na celu — jak kasy zaliczkowe asekuracje. i t. p. — a dla czego? bo ich nie rozumie, bo mu nie dano oświaty, bo miejscowi wyzyskiwacze, których interesem jest, by się owe instytucje między ludem nie przyjęły, zawsze go jeszcze obałamucić potrafią. Wiemy, jak często każdy kto tylko ma po temu sposobność, czy to z administracyjnej, czy z jakiejkolwiek innej władzy wypływającą, może zawsze bezkarnie wszelkie przeprowadzić nadużycie, bo lud nie wie, co prawem jest a co bezprawiem. A w takich warunkach — jakże zdoła on się podnieść w dobrobycie, skoro cały prawie dochód, jaki z pracy jego i z posiadanej ziemi płynie, przepada w paszczy owych mnogich wyzyskiwaczy — a gospodarka prowadzona jak najgorzej „jak było od dziada i pradziada“ nie dozwala mu podnieść owego dochodu? skoro wreszcie ten brak oświaty powoduje zarazem i upadek moralny, a ten tylekrotnie staje się przyczyną majątkowej ruiny?

Dług więc — jak powiedziałem — spłacony w drobnej tylko cząstce. Że zaś spłacając go w całości, wykształcone klasy społeczeństwa naszego poszłyby tylko za głosem własnego interesu — na to ponoś wielu nie potrzeba dowodów. Z oświatą — rozszerzyć się musi zakres widzenia włościanina. Dziś, zna on tylko swoją „gromadę“ — bardzo wyjątkowo tylko patrzy dalej nieco, i widzi powiat i kraj — odnosząc jednak sprawy te zawsze do swoich najbliższych, najbardziej bezpośrednich interesów, tj. do gromady. Daj mu oświatę — a jutro już pozna on i zrozumie i pokocha ojczyznę. Tą tylko drogą dojdziemy do tego, iż włościanin będzie o b y w a t e l e m nie w „krajowym“ tylko tylko tego słowa znaczeniu, ale w tem, w jakiem miećbyśmy po pragnęli. I w tem też — w tem tylko cała nadzieja przyszłości.

Są jednak u nas jeszcze tacy, którym ta myśl do przekonania nie trafi. Zamknięci w ciasnem kółku interesów jeżeli nie osobistych to partykularnych iprowincjonalnych, muszą oni już bezpośrednio dla tych właśnie interesów widzieć korzyść jakąś, by się jakiejkolwiek chwycić pracy, by jakąkolwiek ponieść ofiarę. Ale i dla tych nawet interesów oświata ludu nieodzownie jest potrzebną. Narzekają u nas, że lud nie ma uszanowania własności. Ale czyż mu dano pojęcie tej własności? Czyż oświecono mu umysł tak, by on jej nietykalność uznał i ocenił? Nie ma prawa na to narzekać, kto u siebie we wsi nie założył szkółki lub się do jej dotacji nie przyczynił, nie ma prawa narzekać, kto nad oświatą ludu nie pracował. Narzekamy dalej, że lud nasz wiejski nie umie dobrze się rządzić w gminie i powiecie. Dziwcie się raczej, że się nie rządzi stokroć jeszcze gorzej. Nas w szkołach uczono, a przecież — ile to błędów w tym naszym samorządzie. Jakoż chcieć, by ich nie było tam, gdzie nieoświecony człowiek wykonuje władzę? Chcecie, by policja na wsi dobrze była sprawowaną, mienie wasze ubezpieczone, drogi dobrze utrzymywane, lasy niewyniszczone, pastwiska nie wypasane, chcecie mieć z włościan dobrych sąsiadów, od których chronić się nie trzeba, ale jeszcze u nich nieraz znaleść można ochronę, chcecie, by dobre wasze zamiary i rady w interesie tego lud czynione, były przyjęte nie z nieufnością jak dotąd, ale z uznaniem i zaufaniem: oświecajcie lud. I nie strzeże swego interesu ten, kto żałuje grosza na oświatę — ale ten, kto go nie skąpi, bo wie że to kapitał, który z lichwiarskim wróci się procentem.

Co i jak robić, by oświata nie była marnem hasłem ale w życie przeszła — powiem w następnych listach.

Zapiski teatralne.

Jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że recenzje teatralne rozpocząć możemy od ocenienia przedstawień, które są dla nas prawdziwą uroczystością, prawdziwą biesiadą ducha. Od paru miesięcy już opowiadano sobie, iż zabłyśnie i nam gwiazda teatrów polskich, p. *Helena Modrzejewska*. Już afisze zapowiedziały pierwszy gościnny występ, ale niedobry, zimny maj galicyjski pozazdrościł nam chwilowo tej pociechy, i przez cały tydzień czytaliśmy na afiszach złowrogie słowa: „z powodu słabości p. Modrzejewskiej“ itd. Wreszcie niepoczciwa chrypka ustąpiła, zostawiając po sobie lekkie ślady w pewnem osłabieniu srebrnego głosu artystki, która we środę wystąpiła w roli Adrianny Lecouvreur.

Są sztuki, bardzo pośledniej wartości, które jednak nie zejdą z repertoarzów teatralnych póty, póki są znakomici artyści do oddania roli naczelnej. Dla jednej roli, dla znakomitej gry artysty zapominamy o wadach sztuki, mając przed oczyma tylko tę jedną, skończenie oddaną postać. Do takich to sztuk należy Adrianna, która przy gorszem obsadzeniu głównej roli pewnoby się utrzymać nie mogła. Nie piszemy więc o sztuce samej, znanej już zresztą naszym czytelnikom z czasów, kiedy jeszcze p. Aszpergerowa w niej występowała. Ale pomówimy głównie o czarującej grze p. Modrzejewskiej.

Jeżeli kogo, to ją uposażyła natura wszelkiemi warunkami by z niej skończoną uczynić artystkę. Wspaniała postać, głos silny a dźwięczny, oko dziwnego blasku, rysy twarzy piękne i szlachetne a tak ruchliwe, że myśl każda i każde uczucie znajduje w nich odblask, bo się ta twarz modeluje jak materjał pod dłutem rzeźbiarza, na rozkaz artystki. Przyszło nam na myśl to właśnie porównanie, bo postacie przez p. Modrzejewską stwarzane są prawdziwie posągowemi, nie tylko w ogólnem psychicznem ich pojmowaniu, ale i w każdem najdrobniejszem przejściu.

Od dzieła sztuki żądamy przedewszystkiem myśli, którąby je natchnęła, i z całego dzieła wymownie przemówiła do widza, a powtóre, przeprowadzenia tej myśli w najdrobniejszych szczegółach tak, by ten szczegół każdy był w sobie doskonałym, skończonym, a zlewał się z innymi w harmonijną całość Artysta dramatyczny też winien tak samo pojmować dzieła, które ma stworzyć. „Stworzyć“ powiadamy — bo chociaż autor dramatu daje mu pomysł gotowy, daje mu charakter bohatera — rzeczą artysty jest temu charakterowi dać ciało, i ciało to natchnąć duchem, jakim autor chciał go widzieć natchnionym. Artysta zatem przechodzi całą tę pracę duchową, jaką przechodził autor, bo musi on pojąć zupełnie i skończenie tak myśl całego dramatu, w którym mu rola przypadła, ażeby oddanie tej roli w harmonji było z całością, musi zgłębić psychologicznie swego bohatera, każdą myśl jego pojąć, każde uczucie odczuć i do całości odnieść — a po tej pracy, którą przechodzi wraz z autorem dramatu, musi tak pojęty charakter stworzyć już jako żywą postać. Otóż jeżeli tak pojmiemy zadanie artysty dramatycznego, możemy i do niego odnieść, cośmy mówili o dziełach sztuki w ogóle, iż doskonałem jest to tylko dzieło, które myśl swoją przewodnią przeprowadza w każdym choć najdrobniejszym szczególe, i te szczegóły zlewa w skończoną harmonijną całość. Taką też jest gra p. Modrzejewskiej — taką była w roli Adrianny.

Miłość sztuki, nie dla marnej sławy, ale dla sztuki samej — miłość kochanka gorąca a tkliwa i do wszelkich zdolna poświęceń, która przechodzi w namiętność wtedy dopiero, gdy ją ohydnie zdradzono — szlachetność nawet i wtedy górująca, kiedy mniemana zdrada do wszystkiego

ją uprawniała—owoż charakter Adrianny, przeprowadzony przez p. Modrzejewską z takiem klasycznem wykończeniem, o jakiem autorowi dramatu pewno się i nie śniło.

Do jakiej szkoły należy nasza artystka? Do klasycznej czy romantycznej? Trudnoby powiedzieć. Jeżeli pierwszej chodzi przedewszystkiem o piękno, dla którego czasem poświęcała prawdę, a drugiej o prawdę dla której nieraz piękno poświęca, to p. M. stoi pomiędzy niemi, a raczej byśmy powiedzieli po nad niemi, i własną sobie stworzyła szkołę. Jej każdy ruch jest pięknym i okrągłym, każda pozycja taką, że gdyby w niej skamieniała, byłaby klasycznym posągiem — niewyczerpane to studjum dla rzeźbiarzy. Ale nigdy na tem prawda gry u niej nie cierpi. Nie masz jednego ruchu twarzy lub rąk, lub całej postaci, któryby grzeszył przeciw prawdzie, niemasz jednego wykrzyku, któryby nie był wydobytym z głębi prawdziwego uczucia. A chwile, które w naturze zazwyczaj rażą, które z anatomiczną wiernością oddane nie mogłyby być pięknemi, jak np. chwila skonania — umie p. Modrzejewska tak oddać, iż nic nie tracą na naturalności, a przecież pięknemi być nie przestają. Widzieliśmy ją w Adriannie w roku zeszłym, i w tym właśnie kierunku spostrzegliśmy postęp w tym jednym roku dokonany. Przed rokiem, przy skonaniu twarz skamieniała, oblała się wyrazem grozy jakiejś, odbiła na sobie cierpienie fizyczne, teraz zaś twarz ta przybiera w chwili skonu wyraz taki, że zda się piękna jej dusza jeszcze się nad nią unosi, jeszcze tchnienie swe na nią rozlewa, jeszcze ślad szlachetnego życia na niej zostawia. Kona w objęciach kochanka i najwierniejszego przyjaciela — kona w chwili, gdy się przekonała, że ów mniemany zdrajca nie zdradził, ale ją zawsze niezmiennie kocha. Ten wyraz pewnej szczęśliwości, jaki artystka w tej chwili twarzy nadała, jak z jednej strony zaciera niemiłe wrażenie konania zostawiając w piersi widza miejsce wyłączne dla uczucia smutku, — tak z drugiej strony odpowiada zupełnie chwili, w jakiej skon nastąpił, bo chwili kiedy słońce miłości Maurycego znów nad nią w całej pełni zajaśniało.

Goethe powiada w swej „Wahrheit und Dichtung"— że kiedy z drezdeńskiej galerji obrazów powrócił do do mu, wszystko mu jakąś artystyczną przybierało postać, a izba szewca u którego mieszkał, wydała mu się jakby wyjęty z ramek obraz Ostadego. Wychodząc z teatru pod wrażeniem gry p. Modrzejewskiej podobnego doznajemy uczucia. I gwiazdy zda się jaśniej błyszczą, i chmury na niebie fantastyczniejsze przybierają kształty, i ludzie lepsi się wydają i piękniejsi, bo to piękno i ta szlachetność tak klasycznie na scenie oddane, odbiły się na nich, i nie zostały bez śladu. I ten jest najwyższy tryumf prawdziwego artyzmu.

Ale dosyć na dzisiaj. Dalsze występy p. Modrzejewskiej dadzą nam sposobność do licznych jeszcze uwag. Co do gry reszty artystów powiemy chyba, że serdecznie żal nam p. Modrzejewskiej, iż lepszego nie miałą otoczenia. Wyjmujemy z tego sądu tylko grę p. Baranowskiego, który z każdej roli umie stworzyć typ, i widocznie staranne robi studja. P. Linkowski nie grał ale recytował tylko rolę. A może i lepiej zrobił — bo mniej był rażącym.

Sprawy stowarzyszeń.

Towarzystwo Opieki Narodowej. Nowo wybrany komitet zarządzający Towarzystwa Op. Nar. wydał odezwę, w której wzywa obywateli do poparcia usiłowań Towarzystwa. Dla braku miejsca nie zamieszczamy odezwy tej w całości. Przypominamy tylko, jak piękne, w życiu naszem nader ważne cele Towarzystwo sobie założyło. „Kalekom i starcom — powiada odezwa — należytą zapewniano pieczę, wdowom i sierotom po poległych i zamordowanych rodakach, podawano skuteczną pomoc; młodzieży ułatwiano powrót do nauki, kształcono ją w specjalnych zawodach, zdolnym zaś do pracy starano się pozyskać odpowiednie miejsca, ochraniać ich od wstrętnej, upokarzającej jałmużny, nie raz może od występku." Ażeby jednak cele te osiągnąć się dały, potrzebuje Towarzystwo usilnego poparcia ze strony kraju — potrzeba przedewszystkiem tego, by liczba członków znacznie się wzmogła. Dziś liczy ono 1.300 tylko członków. Gdy jednak zważymy, że statut Towarzystwa nie oznacza wysokości rocznej wkładki, że wolno przystąpić z wkładką choćby i dziesięciu centów na rok, musimy uznać, iż nie masz n i k o g o w kraju, komuby było wolno od Towarzystwa się usunąć. Wśród braci naszej, która dziś jeszcze doznaje boleśnych następstw ostatniego ruchu, wśród emigracji powracającej do nas, wśród Sybiraków, którzy długą niewolą wyrzuceni byli z właściwej kolei swego zawodu, wiele jest jeszcze nędzy, wiele ran do zagojenia. Z sierót po poległych w powstaniu, ileż to jeszcze znajduje się dziś w biedzie, bez środków dalszego kształcenia się! Wolnoż nam wobec tego od Towarzystwa się usuwać? Kto sam nie ma wiele, niech da kilkadziesiąt centów na rok — niech płaci szóstaczka kwartalnie — a niech takich będzie kilkanaście tysięcy. Odezwa komitetu słusznie zwraca się do n i e w i a s t naszych, które zawsze dawały tyle dowodów patryotyzmu, a do Tow. Op. Nar. nie przystąpiły tak licznie, jak się tego spodziewać należało. Może powodem tego jest ta okoliczność, że jeszcze kobiety nasze nie przyzwyczaiły się do udziału w publicznych Towarzystwach, tu jednak, wobec tak doniosłego celu patryotycznego, usuwać im się nie wolno.

Spodziewamy się, że sprawozdanie przyszłoroczne wykaże już znacznie większą liczbę członków.

Walne zgromadzenie lwowskiego oddziału Tow. pedagogicznego odbyło się we czwartek d. 18. b. m. pod przewodnictwem dra Feliksa Strzeleckiego. Po odczytaniu i przyjęciu protokołu, następuje sprawozdanie komisji wybranej do zbadania stanu Towarzystwa i przyczyn schylania się jego do upadku. Sprawozdawca prof. Soleski podnosi przedewszystkiem brak solidarności pomiędzy członkami, mały ich udział w czynnościach Towarzystwa, który niczem się wytłumaczyć nie da, i dowodzi zapomnienia o owem godle naszych czasów: „pomagaj sobie." Wnosi: by celem rozbudzenia większego życia odbywać co roku dwa zjazdy ogólne całego Towarzystwa — by dalej zgromadzenia oddziałowe odbywały się co miesiąc, by wreszcie zawiązywać liczne kółka nauczycielskie specjalne. — Dalszą przyczyną iż Towarzystwo się nie rozwija, jest nieprzychylne zachowanie się wobec niego Rady szkolnej krajowej. Wnosi, by polecić zarządowi głównemu, ażeby poczynił kroki u pojedynczych członków Rady szkolnej, i wystósował pismo z prośbą o poparcie celów Towarypstwa; by powtóre od Wydziału krajowego uzyskać pewną kwotę na coroczne wysyłanie nauczycieli za granicę; by wreszcie od ministerstwa uzyskać książki na uposażenie biblioteki Towarzystwa. Nakoniec podnosi sprawozdawca niektóre zarzuty przeciw zarządowi oddziału lwowskiego, co do zaniedbania poruczonych mu czynności.

W rozprawie ogólnej zabiera głos Romanowicz, i wyraża ubolewanie z powodu, że we wniosku o wybranie komisji, która właśnie zdała sprawę, była mowa o upadku Towarzystwa. Mniemanie iż ono upada, jest mylnem. Mogła filia lwowska o sobie to

powiedzieć, ale dość przeczytać sprawozdania z czynności innych powiatów i zarządu głównego, by się przekonać, że o całem Towarzystwie powiedzieć się to nie da.

Profesor Zgórski podnosi, iż Towarzystwo znacznie lepiejby się rozwijało, gdyby nie sami młodzi nauczyciele, ale i poważniejsi, a szczególnie ze szkół średnich, brali gorliwszy udział w czynnościach Towarzystwa. — Przewodniczący zaś i sekretarz zwycięzko, bo faktami i cyframi zbijają zarzuty podniesione przeciw zarządowi oddziałowemu. Prof. Baranowski wykazuje, iż przedewszystkiem wina cięży na samych członkach; praca wszelka spoczywa na jednostkach, gdy się te do obowiązku nie poczuwają, praca dobrze iść nie może! Uchwały nie wiele pomogą, jeżeli członkowie sami gorliwie pracować nie będą.

Po zamknięciu ogólnej rozprawy, wniosek o odbywanie dwóch walnych zgromadzeń centralnych co roku, odesłano do zarządu głównego. Wnioski o odbywanie walnych zgromadzeń oddziałowych raz na miesiąc, i o zawiązanie licznych kółek nauczycielskich, przyjęto. W sprawie odniesienia się do Rady szkolnej, rozwinął Romanowicz powody naprężonego stosunku między Radą a Towarzystwem. Na zjeździe nauczycielskim, który dał początek zawiązania Towarzystwa pedagogicznego — obecni nauczyciele powitali Radę z całem zaufaniem. W odpowiedź na to uchwaliła Rada szkolna, by członkowie jej nie należeli do Towarzystwa. Wywołało to oburzenie i obustronną drażliwość. Zażaleni na Radę szkolną z powodu tego postępowania, możeśmy nie raz w krytyce tak ustnej jak pisemnej szli za daleko, namiętnie, gorączkowo. Rada zaś lekceważyła nas, podania nasze chowając do kosza. Winny więc obie strony. Gdzie takie są stosunki, pismo nic nie pomoże. Obie strony zawiniły. niech więc obie postępowaniem swem dadzą poznać, że chcą na inną wejść drogę. Rada szkolna powoli już zmienia swe dawne stanowisko: członkowie jej biorą udział w naszych naradach. Występujmyż i my w sposób więcej spokojny, z krytyką sprawiedliwą, a nie namiętną — ale nie wystosowujmy do Rady jakiegoś pisma, któreby wyglądało na przeproszenie i ubliżało godności Towarzystwa. Wnosi zatem, by nad wnioskiem komisji o wystosowanie pisma do Rady szkolnej przejść do porządku dziennego — co zgromadzenie uchwala.

Po przyjęciu innych wniosków komisji, zgromadzenie odroczyło się do następnej niedzieli.

Zjazd delegatów Stowarzyszenia przyjaciół oświaty ludowej odbył się w sobotę dnia 20. b. m. O Stowarzyszeniu tem napiszemy obszerniej w osobnej rubryce. Zjazd wysłuchał sprawozdania zarządu głównego — uchwalił z funduszów oddziałów powiatowych odsyłać połowę do zarządu centralnego, uchwalił regulamin dla siebie i dla zarządu centralnego, wybrał wreszcie nowy zarząd, w skład którego weszli po większej części dawni jego członkowie.

Wydział centralny Towarzystwa Oficjalistów prywatnych pracuje obecnie nad dwoma sprawami wielkiej doniosłości dla Towarzystwa, które już są na ukończeniu. Pierwszą z nich jest opracowanie zmiany statutów na podstawie zasad, przez Radę Nadzorczą uchwalonych. Praca to rozległa. Rada Nadzorcza uchwaliła rozszerzenie Towarzystwa na wszelkich urzędników nie w rządowej, krajowej lub gminnej służbie zostających. Rozszerzenie to, przypuszczające do Towarzystwa urzędników wszelkich banków, zakładów finansowych, asekuracyjnych, Towarzystw, urzędników fabrycznych i t. p. wzmocni znacznie Towarzystwo, bo mu głębszą da podstawę. Podstawą bowiem instytucji tej są głównie członkowie zwyczajni, którzy udziałami swymi wytwarzają kapitał Towarzystwa, a których już dzisiaj liczymy na tysiące. Udział jeden wynosi 4 zł. rocznie, iluż to znajdzie się urzędników prywatnych, którzy mogą i zechcą wkładką kwartalną 1 złr. zapewnić sobie pomoc we wszelkiej potrzebie. A gdy się liczba dotychczasowa członków podwoi — jakąż potęgą stać się może taka instytucja! Ze strony członków wspierających jednak podniesiono zarzut, iż składali oni pieniądze głównie a prawie wyłącznie na oficjalistów wiejskich — ażeby przeto życzeniom ich zadośćuczynić, uchwalono fundusze dotychczas przez członków wspierających składane, oddzielić jako osobny fundusz żelazny dla dotychczasowych członków zwyczajnych. Mając przed sobą taką uchwałę Rady Nadzorczej, wydział centralny musiał się zająć tym rozdziałem funduszów, co zabrało kilka posiedzeń, i bardzo gruntownie było rozważonem.

Drugą również ważną kwestją w zmianie statutów, był wymiar stałej emerytury. Trzeba tu było rozważyć dokładnie, by z jednej strony zadość uczynić słusznym żądaniom członków, którzy się składali na fundusz emerytury, a z drugiej nie przyjmować na siebie zobowiązań, zbytecznie obciążających dochody Towarzystwa. I tę trudność Wydział centralny już pokonał, znajdując zabezpieczenie w znacznym, dotąd uzbieranym kapitale żelaznym, i w uchwalonej przez Radę Nadzorczą zasadzie, iż w razie niedoboru dochodów funduszu stałej zapomogi, niedobór ten rozłożonym będzie na członków w miarę ilości udziałów.

Oprócz zmiany statutów zajmuje się Wydział sprawą umieszczenia funduszu, dziś już przeszło 80.000 złr. wynoszącego, w kasie zastawniczej, przez Towarzystwo założyć się mającej. Odnośna uchwała Rady Nadzorczej zapadła tak, że wejdzie w życie, jeżeli rząd zatwierdzi zmianę statutu w tym kierunku, iż fundusz nie ma być koniecznie lokowany w papierach, lecz że o sposobie umieszczania takowego orzeka Rada Nadzorcza. Kasa zastawnicza zatem dotąd nie mogła wejść w życie. Gdy się to stanie, ogromną z tego korzyść odniesie i Towarzystwo, i miasto nasze. Pierwsze skorzysta, ponieważ dochody z funduszu żelaznego znacznie się powiększą, a kapitał dotąd bezużytecznie leżący zostanie wprowadzony w ruch i obrót. Miasto zaś, a szczególniej mniej zamożna jego ludność skorzysta także, ponieważ stworzonym będzie bank, przyjmujący w zastaw nie tylko kosztowności, ale wszystko, co reprezentuje jakąś wartość. W ten sposób ci, którzy dotąd za pożyczkę na zastaw wziętą opłacali naszym wyzyskiwaczom po 60 i więcej od sta, będą mogli uzyskać zawsze tani a łatwy kredyt. Dla klas pracujących ogromne to dobrodziejstwo.

Nie możemy ponoś tego zapisku zakończyć inaczej, jak wzywając wydział centralny, by z nieumniejszoną gorliwością pracował dalej — a wynagrodzenie tej pracy znajdzie w sumiennem przekonaniu poniesionych zasług.

Towarzystwo zaliczkowe we Lwowie rozwija się powoli wprawdzie, ale statecznie. W pierwszym miesiącu istnienia zebrało z wpłat członków na udziały przeszło 800 złr. i zapewniło sobie 10tysięczny kredyt, z którego jednak będzie tylko w miarę potrzeby korzystać. Towarzystwo daje pożyczki na10%. Korzyści jego okażą się wkrótce — dzisiaj nie dziwimy się wobec małego rozpowszechnienia u nas ekonomicznej wiedzy, że tak mało dotąd przystąpiło członków. Po pierwszem półrocznem sprawozdaniu, zobaczymy, jak niewierni nawracać się poczną.

☞ Szanowni autorowie i wydawcy, którzy pragną by o dziełach przez nich wydawanych obszerniejsze zamieszczać wzmianki, raczą jeden egzemplarz dzieł tych przesyłać do redakcji *Gazety Literackiej*.

Zupełne wydanie powieści J. I. Kraszewskiego. Wydawcy *Biblioteki Powieści i Romansów*, zawarli układ z najznakomitszym naszym powieściarzem, J. I. Kraszewskim w celu wydania wszystkich jego utworów. Zbiór ten będzie miał wartość nieocenioną, zwłaszcza że prawie wszystkie z sławniejszych powieści Kraszewskiego są już dawno wyczerpane w handlu księgarskim, i za żadną cenę ich nie dostanie. Pierwsze t my wyjdą dnia 1. Października r. b. a w prospekcie, który wydawcy we Wrześniu rozeszlą, będą umieszczone warunki przedpłaty. Z ogłoszenia tymczasowego dowiadujemy się, że obok *Biblioteki Powieści i Romansów* przedpłata na 20 tomów Kraszewskiego, które dawniej kosztowały od 45 — 50 zlr. będzie wynosiła tylko **8 zlr.** Jest to cena tak przystępna, że nie wątpimy, iż w każdym domu polskim znajdzie się to wydanie. Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie przyjmuje już dziś adresy tych osób, które zamierzają trzymać „Zbiór powieści J. I. Kraszewskiego“ — a to w celu ustalenia ilości nakładu.

Z naszej strony umieszczamy dziś spis wszystkich dzieł Kraszewskiego, w porządku chronologicznym, uważając także przypomnienie za korzystne dla polskiej publiczności.

1. Pan Walery, powieść z XIX. wieku. Wilno 1831. — W r. 1832 zapowiedział Glücksberg druk Słownika polsko-rossyjsko-francuskiego w dwóch tomach, który atoli nie wyszedł.

2. Wielki świat małego miasteczka, tomy 2. Wilno 1833. — Powieść ta, tak rozdrażniła ewangelistów w Wilnie przeciw autorowi, że aż w *Tygodniku petersburgskim* wyjaśniał, iż wcale nie w złej myśli powieść tę pisał. Jestto pierwszy kamień napotkany na drodze zawodu piśmienniczego.

3. Rok ostatni panowania Zygmunta III. tomy 2. Wilno 1833.— Kock: Dom biały, przekład, tom. 5. Wilno 1833.

4. Pan Karol, powieść fantastyczna, tomy 2. Wilno 1833, 2gie wydanie 1840.

5. Cztery wesela, tomy 2. Wilno 1834, 2gie wydanie 1841.— Improwizacja dla moich przyjaciół. Wilno 1834, 2gie wydanie 1844.

6. Ładna młynarka, Raj i piekło (dwie powieści). Wilno 1834.

7. Dwa a dwa są cztery czyli piekarz i jego rodzina (napisana powieść r. 1832). Wilno 1837.

8. Majster Bartłomiej, powieść fantastyczna. Wilno 1837.— Gramatyka historyczno-porównawcza języków słowiańskich, owoc studjów ośmioletnich. Zapowiedziana w r. 1836, lecz nie drukowana.— Poezje, tomy 2. Wilno 1838, 2gie wydanie Warszawa 1843.— Ze zbioru tych poezji, poemat Birutę przełożono w Kwetach na Czeskie. — Wilno od początków jego aż do r. 1750, t. 1. Wilno 1838.

(C. d. n.)

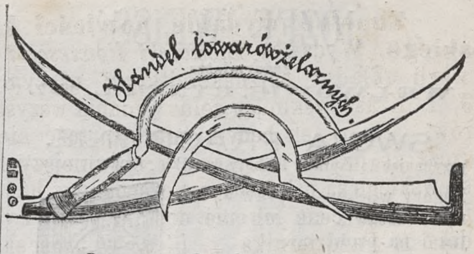
FABRYKA
żaluzyj i storów drewnianych
J. S. JÜRGENSA
1—6

we Lwowie,

wyrabia i sprzedaje po cenach fabrycznych:

Żaluzje taśmowe lakierowane, **Story** drewniane tkane w różnych kolorach i deseniach oraz z malowidłami, **Parawany, Zasłonki** do okien, pieców i kominków. **Antypedja kościelne, dywany** na łóżka, **Nakrycia** na stoły i t. p. i t. p.

☞ Zamówienia podług wzorów uskuteczniają się w najkrótszym czasie, przyjmują je także handle pp. *F. B. Hahn* w Krakowie, *K. Kopacz* w Stanisławowie, *J. I. Szęgierski* w Czerniowcach, *P. Krohn Bolzandahl* w Jassach, *Lewicki, Iwanicki i Ludwikowski* w Kijowie, *K. Brossmann* w Jarmolińcach.



Jana Schumanna
we Lwowie przy placu Marjackim

poleca swój obficie zaopatrzony skład oryginalnych pługów **Zugmayera** i tegoż systemu krajowych, niemniej znakomity zapas kós i sierpów styryjskich z najlepszych fabryk jako też i sierpów tak zwanych polskich, wyrobu angielskiego.

Ceny kós i sierpów:

1) Kosy styryjskie ze znakiem „**Ręka**" niebieskie lub białe, sztuka po 60 ct.
2) Kosy styryjskie ze znakiem „**Korona**" niebieskie, sztuka po 55 ct.
3) Sierpy z zębami „polskie" wyrób angielski z rączką, sztuka po 50 ct.
4) Sierpy niemieckie bez zębów, podług wielkości, za sztukę po 22, 24, 28 i 30 ct.

Dziękując Szanownej P. T. Publiczności za dotychczasowe zaszczytne względy i polecając się nadal łaskawej pamięci — donoszę, że każdy obstalunek, po nadesłaniu trzeciej części ceny gotówką, wysyłam natychmiast za pobraniem kolejowem lub pocztowem reszty. 1—?

!!! **Najtańszy** !!!

OKORNICKI & CIROK

we Lwowie, nr. 157 m.

Magazyn

TOWARÓW z PORCELANY

szkła i fajansu.

SERWISY

stołowe, herbaciane i kawowe,

urządzenia do umywalni,

szkło rznięte i gładkie stołowe

kule i cylindry do lamp,

tudzież

NACZYNIA KUCHENNE

kamienne i drewniane,

i tace z blachy lakierowanej.

Wszelkie zanieczyszczenia krwi leczy radykalnie

Dr. KARCZ.

Ordynuje od 8—9 przed i od 2—4 po południu

pod l. 177 w rynku.

Poradnik w tych słabościach jest w każdej księgarni do nabycia.

☞ Zwraca się uwagę na wiosenną i letnią porę, jako najkorzystniejszą do wyleczenia nawet zastarzałych wypadków.

Także i listownie pod dyskrecją.

Skład i wyrobnia różnych mebli i Posadzek

Józefa Sanciewicza

ulica Pojezuicka,

w zabudowaniu galicyjskiej kasy oszczędności we

1—1 **Lwowie.**

CUKIERNIA

pod firmą:

A. Żmudziński i M. Kostecki

we Lwowie,

poszukuje ucznia

ze szkół realnych lub gimnazjalnych, od 13 do 14 lat mającego. 1—2

C. k. uprz. galic. Akcyjny Bank hipoteczny.

KASA ZALICZKOWA GALIC. BANKU HIPOTECZNEGO

1—? **pożycza na zastaw**

KLEJNOTÓW, MONET i EFEKTÓW,

z spłatą w jednym terminie, albo w ratach tygodniowych, miesięcznych lub kwartalnych.

Lwów dnia 20. kwietnia 1871.

Dyrekcja.

JÓZEF WEISS

zegarmistrz

WE LWOWIE. RYNEK L. 157.

Poleca

SWOJĄ PRACOWNIĘ,

przyjmując do naprawy i roboty wszelkiego rodzaju zegarki.

Zegary wieżowe naprawia, lub nowe ustawia tak w miejscu jak i na prowincji.



Posiada także

dobór zegarków

trwałych (od 2 do 50 złr.) i **praktycznych**, z wychwytem walcowym, ankrowym i kotwicznym.

Kupujący zegarek pod gwarancją dwuletnią, otrzyma w dodatku przyrząd astronomiczny wraz z wykazem różnicy zegara dobrze idącego od kompasu.

Wszelkie zamówienia i roboty uskuteczniam jak najspieszniej i najakuratniej. 1—1

ANTONI STRZELECKI

Jubiler i złotnik,

we Lwowie, przy ulicy Karola Ludwika l. 4. poleca swoją PRACOWNIĘ, oraz gotowe

WYROBY ZŁOTNICZE

własne i zagran. w najnowszym guście.

Wszelkie zamówienia podług najnowszych fasonów w najkrótszym czasie uskutecznia.

Przyjmuje zużyte złota i srebra w zamian za nowe z bardzo małą dopłatą, lub też za gotowe pieniądze kupuje. 1—1

L. BRATKOWSKI

Lwów, plac św. Ducha pod liczbą 43.

SKŁAD

tak własnych jak i zagranicznych

WYROBÓW BLACHARSKICH

najnowszego fasonu, zalecających się nieznaną u nas dotąd elegancją, gustem, praktycznością i taniością.

Pracownia wyrobów blacharskich urządzona na wzór najznakomitszych zagranicznych zakładów. Przyjmuje wszelkiego rodzaju roboty blacharskie: pokrycia dachów, nagrobki, cynkowe portale, ornamenta i t. d. i uskutecznia je w najkrótszym czasie i po najtańszej cenie.

Wszelkie zamówienia z prowincji uskuteczniam natychmiast. 1—1

CUKIERNIA

E. Nizinieckiego & A. Hołyńskiego

pod l. $869^1/_4$ (ulica Pańska)

we Lwowie,

przyjmuje zamówienia i uskutecznia takowe w jak najkrótszym czasie po cenach najumiarkowańszych. 1—1

Feliks Piątkowski

ulica Nowa, 1—1

w własnym domu pod l. 14.

Znana już od lat 20 pod tą firmą istniejąca

Pracownia

WYROBÓW BLACHARSKICH

urządzona na wzór najznakomitszych zagranicznych zakładów, przyjmuje zamówienia na wszelkiego rodzaju roboty blacharskie, jakoto:

pokrycia dachów, nagrobki, ornamenta itd.

i wykonuje je w najkrótszym czasie i po najtańszej cenie.

Wielki skład

TOWARÓW BLACHARSKICH

wyrobu własnego i zagranicznego.

Wielki skład lamp naftowych

WANNY rozmaitego rozmiaru, APPARATY do kąpieli tuszowej SZAFY do kąpieli parowej, MASZYNKI do robienia lodów itd. itd.

Nowo otworzony magazyn!

F. S. BARDASZ

WE LWOWIE, plac KATEDRALNY l. 31 m.

GŁÓWNY SKŁAD

płócień i gotowej bielizny

otrzymał i poleca wielki wybór

DESZCZOCHRONÓW

i Plaidów,

gutaperchowych płaszczów od deszczu, nicianych materyj na garnitury mężkie, kolorowych perkali na koszule, skarpetek i pończoch,

najnowszych wstawek do koszul; krawatek, szelek, manszet i kołnierzyków.

Obstalunki na bieliznę i zamówienia na prowincje uskuteczniam jak najspieszniej i najakuratniej. 1—1

Franciszek Popowicz

w domu pana **WIECZYŃSKIEGO**,

pod l. 361 przy ulicy Nowej,

poleca swój

HANDEL TOWARÓW

Żelaznych i Norymbergskich

i t. d.

1—1

---

5 złr. na rok.

Od r. **1869** wychodzi we Lwowie

SZCZUTEK

pismo humorystyczne, illustrowane przez pierwszorzędnych artystów.

Prenumerata kosztuje: 1—?

całorocznie 5 złr.

półrocznie 2 „ 50 ct.

ćwierćrocznie 1 „ 25 ct.

Adres: Redakcja SZCZUTKA, Lwów.

5 złr. na rok. — 5 złr. na rok. — 5 złr. na rok.

Ważne pod względem sanitarnym

WYCHODKI BEZWONNE

konstrukcji dotąd u nas niepraktykowanej; przy zastosowaniu jej bowiem nie potrzeba kanałów.

Wychodki i stolce pokojowe, zupełnie bezwonne i bez rezerwoarów wodnych, dające wszelką gwarancję czystości i niezamarzające porą zimową, urządzam podług nowego systemu tak w budynkach parterowych i piątrowych.

Przez **urządzenie takich wychodków unika się całkowicie wyziewów szkodliwych zdrowiu** i zatruwających podwórza lub kurytarze kamieniczne, usuwa się również stanowczo niemiłe przeciągi, które się częstokroć stają powodem przykrych słabości reumatycznych. **Stolce przenośne** tego pomysłu mogą być nawet w pokojach ustawione, i pod względem bezwonności przewyższają będące dotychczas w używaniu tak zwane Water-Closets.

Przyrząd tego rodzaju można oglądać u podpisanego, i przekonać się o jego zaletach.

W interesie zdrowia publicznego wychodki i stolce wzmiankowane przydają się szczególnie w zakładach ludniejszych, jakiemi są: kryminały, koszary, szpitale, szkoły, fabryki i t. p.

Urządzenia

kloak tego rodzaju

tudzież

przeistaczania istniejących a szkodliwych na nowe i nieszkodliwe podejmuje się

tanio i szybko.

1—1 JÓZEF WIEDEŃ,

budowniczy miejski pod l. $455^4/_4$ przy ulicy Piekarskiej.

J. A. BACZEWSKI

we Lwowie w rynku.

GŁÓWNY SKŁAD

Rumów zagranicznych,

LIKWORÓW

francuskich, holenderskich i gdańskich.

Sprzedaż hurtowna

SPIRYTUSU

rafinowanego,

Rumów, Rozolisów i Likworów

własnego wyrobu.

oraz SKŁAD PRAWDZIWEJ HERBATY CHIŃSKIEJ.

Wydawcy: J. Śliwiński i L. Wisłocki. — Odpowiedzialny redaktor: Jan Śliwiński. Druk K. Pillera.